

Li Ang

Żona rzeźnika

przełożyła Maria Jarosz



Państwowy
Instytut
Wydawniczy

ROZDZIAŁ II

Rzeźnik Ch'en Chiang-shui był prawdziwym mistrzem w swoim fachu. Podobno zaczął pracować w rzeźni jeszcze jako dziesięciolatek, a chociaż początkowo robił za chłopca na posyłki, już wkrótce nadarzyła się okazja i pozwolono mu po raz pierwszy użyć długiego na ponad *chi*¹, wąskiego, ostro zakończonego rzeźnickiego noża. Kiedy wziął go do ręki i jednym szybkim, bezlitosnym, celnym ruchem wbił w miękkie podgardle świnie, dłoń nawet mu nie zadrżała. Inni rzeźnicy zaczęli nazywać go „Ch'enem Świńskim Rzeźnikiem”, z jednej strony żartując sobie z jego schadzek z kobietami, z drugiej – w uznaniu dla jego wyjątkowych umiejętności.

Lata pracy w rzeźni sprawiły, że Ch'en przyzwyczał się do wstawania bardzo wcześnie rano i nie zamierzał robić wyjątku w noc poślubną. Nieco po trzeciej nad ranem, kiedy było jeszcze zupełnie ciemno, Ch'en podniósł się z łóżka i rzucił okiem na Lin Shih, która leżała obok, pogrążona w głębokim śnie. Nie budził jej, tylko ubrał się szybko, wziął ze sobą swój długi nóż i ruszył na śniadanie na mały targ w centrum Ch'en-t'so.

Starszy właściciel budki z ryżową owsianką, który obsługiwał najwcześniej przychodzących klientów, rozstawił już dwa rozklekotane bambusowe stołki. Kiedy rozległ się gwizd dzbanka z gotującą się wodą, staruszek zauważył, że przyszedł Ch'en Chiang-shui. Przywitał go

serdecznie, ale nie mógł się powstrzymać od rzucenia w żartach złośliwej uwagi:

– Młoda żona w domu, a ty tutaj? Co, nie masz serca, żeby ją tak wcześniej zwlekać z łóżka? Patrzcie państwo, jaki kochający mąż!

Ch'en Chiang-shui zaśmiał się pod nosem, ale nic to nie odpowiedział, tylko bez słowa wziął od starego sprzedawcy owsiankę, kucnął na ziemi i paroma haustami opróżnił dwie miski, głośno przy tym mlaskając. Po śniadaniu wstał i ruszył przez miasteczko do pracy.

Rzeźnia znajdowała się na południe od Lu-ch'engu, pośrodku wielkiego, ryżowego pola i szło się do niej wąską, krętą drogą, która prowadziła od Zaułka, słynnej lokalnej „dzielnicy czerwonych latarni”. Potem przecinało się ryżowe pole, wspinało się na rozpięty nad stawem most i już było się na miejscu. Kiedy do Lu-ch'engu dotarła elektryczność, elektrownię zbudowano właśnie w tej okolicy, ale i tak mało kto się tu zapuszczał. Poza tym drózkę coraz bardziej zarastały posadzone po obu stronach bambusy, przez co robiła jeszcze bardziej ponure wrażenie. Przy mocnym wietrze bambusowe liście szeleściły złowrogo, a bezkształtne cienie, rzucające przez nie w świetle księżyca, sunęły po ścieżce, tworząc obraz tak pełen grozy, że zarówno drózka, jak i pobliski staw, a także sama rzeźnia, od dawna pojawiały się w lokalnych legendach jako miejsca nawiedzane przez duchy.

Ch'en Chiang-shui wcale nie przejmował się tymi opowieściami. Jako że jego rodzina była biedna, od małego musiał pracować w rzeźni, a zarówno on, jak i wielu innych, którzy zarabiali w ten sposób na życie, pogodziło się już z tym, że prędzej czy później przyjdzie im zapłacić za zabicie tak wielu zwierząt i wszyscy skończą w piekle.

Nawet gdyby na ziemi rzeczywiście były jakieś duchy i demony, to czegoż mieliby się bać? Jak przyszłoby co do czego, podążyliby za demonami do piekieł.

A jednak nawet oni nie porzucili zupełnie wiary – przy wejściu do rzeźni ustawili przecież wielki, wysoki na ponad trzy metry, ociosany głaz, na którym widniały wykute wyraźnie i wymalowane czerwoną farbą słowa: „Pomnik ku pamięci zwierzęcych dusz”. Przed głazem stała kadzielnica, a w niej dzień i noc bez przerwy dymiły kadzidełka. Poza wymaganymi comiesięcznymi modlitwami organizowano tu też huczne ceremonie ofiarne piętnastego dnia siódmego miesiąca, kiedy błagano o przyjęcie wszystkich zmarłych, zbłąkanych dusz.

Za głazem stał duży ceglany budynek rzeźni w kształcie litery „L”. Długa wąska hala pełniła rolę ubojni, gdzie zabijano i ćwiartowano tuczniaki, a mniejszego pomieszczenia na prawo używano między innymi do znakowania mięsa. Większość rzeźników trzymała też tam swoje prywatne rzeczy.

Tego dnia po przybyciu do rzeźni Ch'en Chiang-shui najpierw poszedł właśnie do tego małego pokoju, przede wszystkim po to, żeby założyć wysokie, gumowe buty. Zazwyczaj nie nosił fartucha, ponieważ po tylu latach pracy raczej nie zdarzało mu się już ubrudzić koszuli świńską posoką. Na podłodze zawsze jednak stała woda, więc trudno byłoby obejść się bez gumowców.

Odłożywszy swoje rzeczy, Ch'en przeszedł do ubojni i od razu uderzył go w nozdrza znajomy kwaśny i trochę rybi odór. Poczul, że krew buzuje mu w żyłach. Zadarł wysoko głowę i wkroczył ciężkim krokiem do hali.

Wokół stojącej na lewo od wejścia studni już od rana uwijały się kobiety, które czerpały z niej wodę. Na

podłodze leżało na grzbietach kilka prosiaków z ciasno związanymi nogami, a przy nich zebrała się grupa mężczyzn. Ponieważ było dosyć wcześnie, nie mieli jeszcze nic do roboty. Kilku z nich pomagało w rzeźni, a pozostali zajmowali się sprzedażą mięsa i to właśnie oni przynieśli prosiaki. Sami co prawda ich nie zabijali, ale i tak trzymali się blisko, żeby nadzorować proces uboju.

Zobaczyli, że Ch'en Chiang-shui wreszcie przyszedł i przywitali go serdecznie. Kilku pracowników rzeźni zagwizdało znacząco, a pewien stary mężczyzna, który mieszkał niedaleko Ch'en-t'so, uderzył Ch'ena pięścią w krocze i zaśmiał się rubasznie:

– To gadaj, jaka jest ta twoja baba?

– Przyjemna i ciasna, a jaka ma być? Nie jak ta stara szmata Chin-hua z Wiosennego Pawilonu, co jak w nią wejdiesz, to tak luźno i pusto, jakby dna nie było! – powiedział jeden ze sprzedawców mięsa tonem tak stanowczym i nieznoszącym sprzeciwu, jakby był sędzią wydającym werdykt.

Wszyscy znów zanieśli się śmiechem, a jeden z pomocników, mężczyzna w średnim wieku, dodał z zazdrością:

– Z żoną już nie musisz się bać, że zostaniesz samotnym starym dziadem. Ma ci kto gotować, masz z kim spać... To dopiero jest życie!

– Jakie życie? Patrz na tego tutaj, taki wypruty, że nawet się do pracy spóźnił! – zawołał ktoś inny.

Znowu rozległ się wybuch śmiechu, jednak Ch'en Chiang-shui nic na to nie odpowiedział, tylko zaklął dosadnie, każąc się im wszystkim pierdolić, ale uśmiechał się przy tym tak szeroko, że jego przykryte tłustymi powiekami, głęboko osadzone oczy przypominały małe szparki.

Żartowali jeszcze chwilę, zanim zdali sobie sprawę, która jest godzina, i pomocnicy niechętnie odeszli na bok. Dwóch czy trzech podniosło wspólnie prosiaka i z głośnym okrzykiem umieściło go na jednej z ceglanych platform. Każda z nich miała trzy, cztery *chi* wysokości i blat zapadający się pośrodku na kształt litery „V”. Kiedy związane zwierzę znalazło się w tym rowie, nie mogło w żaden sposób obrócić się na brzuch i nie miało już żadnych szans na ucieczkę.

Jakby przewidując, co go czeka, prosiak zaczął przeraźliwie kwiczeć i już po chwili dołączyły do niego pozostałe świnie. Przekrzykując rozpaczliwe kwiki, którzyś z pomocników zawołał do Ch’ena:

– Twoja żona wczoraj też się tak darła?

Tym razem Ch’en Chiang-shui darował sobie przekleństwa, podniósł tylko wysoko długi nóż rzeźnicki, grożąc nim rechoczącym mężczyznom. Kilku z nich trzymało się za brzuchy i raz za razem wołało: „Matko!”

Wykorzystując zamieszanie, kwiczący prosiak prawie stoczył się z platformy, ale paru pomocników natychmiast przytrzymało go jeszcze mocniej. Na szczęście kształt blatu znacznie ułatwiał im pracę i już po chwili opanowali sytuację.

Ch’en Chiang-shui dopiero teraz podszedł do platformy. Lewą ręką złapał ryj świni, odchylił jej głowę i odsłonił szyję. Zanim ktokolwiek zdążył zauważyć, ostrze długiego noża, który Ch’en trzymał w podniesionej wysoko prawej dłoni, zagłębiło się w ciele zwierzęcia. Pozostałe tuczniaki nadal kwiczały przeraźliwie, kiedy Ch’en przeciągnął nóż kilka centymetrów wzdłuż szyi prosiaka, a gdy wyszarpnął ostrze, z otwartej rany trysnęła krew.